



Dziennik Zofii – Listopad

Czasem myślę, że moje dzieciństwo było snem.

Ale nie tym kolorowym, tylko takim, z którego budzisz się z bólem w klatce piersiowej i nie wiesz, czy to jeszcze sen, czy już życie. Miałam brata. Młodszy ode mnie o trzy lata. Byłam dla niego wszystkim, choć sama nie miałam nic.

W naszym domu nie było ciszy. Był krzyk, śmiech pijanych ludzi, trzask butelek i zapach wódki zmieszany z papierosowym dymem. Mama spała do południa, czasem dłużej. Ojca nie było – fizycznie czasem tak, ale emocjonalnie nigdy. Kanapki? Rzucane przez okno, zawinięte w gazetę. Czasem z margaryną, czasem z niczym. Zazdrościłam dzieciom, które miały śniadania w pudełkach, z serwetką i jabłkiem. Nam było zimno. W zimie chodziliśmy w trampkach, w lecie ... w tym co akurat było pod ręką, bo nikt nie patrzył, co mamy na sobie.

Sprzątałam po imprezach. Zbierałam butelki, wynosiłam do skupu. Za kilka złotych kupowałam paczka. Jednego. Dzieliliśmy go z bratem na pół. On się uśmiechał. Ja też, ale tylko ustami. W sercu płakałam i pytałam: dlaczego ...?

Pamiętam ten dzień, jakby był wczoraj. Miałam może osiem lat. Poszłam do koleżanki do domu, jej mama zrobiła naleśniki – z serem. Wszystko pachniało tak domowo, tak bezpiecznie. Siedzieliśmy przy stole, a jej tata przyniósł jeszcze ciepłe bułki z piekarni. Jedną wzięłam do ręki, ale nie zjadłam. Poczułam, że nie mogę. Że nie powinnam.

Zaczęłam ją chować do kieszeni. Suchą, jeszcze ciepłą. Myślałam tylko o braciszku. O tym, że pewnie biega gdzieś po podwórku, głodny, w cienkiej kurtce, może znowu ktoś go przegonił. Nie wiedziałam, gdzie jest, ale czułam, że muszę mu coś przynieść. Że nie mogę tu siedzieć i jeść, kiedy on tam... jest sam.

Tata koleżanki zauważył. Zapytał, czemu chowam butkę. Powiedziałam: „Dla braciszka”. I wtedy poczułam, jakby ktoś mnie rozebrał z całej mojej dziecięcej dumy. Wstyd. Wyrzuty sumienia. Że ja tu siedzę, jem kanapki przygotowane przez prawdziwego rodzica, a mój brat nie ma nic. Że ja mam chwilę spokoju, a on ma tylko hałas i pusty brzuch.

Ale wiedziałam, że się znajdziemy. Że jak wrócę, to go odnajdę. Bo łączyła nas niewidzialna nić. Troska.

Ja byłam jego opiekunką, jego starszą siostrą, jego mamą, jego domem. I choć sama nie miałam domu, to próbowałam być domem dla niego.

Dziś jestem dorosła. Mam dzieci. I nie umiem być matką. Nie wiem, jak się troszczyć, jak być czułą, jak robić śniadania z miłością. Czasem patrzę na nie i czuję, jakby były obce. A potem przychodzi fala winy, która mnie zalewa i nie pozwala oddychać. Kocham je. Ale nie umiem tego pokazać. Bo nikt mnie nie nauczył.

Szukam miłości. Całe życie. W mężczyznach, którzy mieli być moimi opiekunami, a nie partnerami. Chciałam, żeby mnie przytulili, powiedzieli, że wszystko będzie dobrze. Ale oni odchodziłi. Mówili, że jestem zimna, że nie ogarniam życia, że nie umiem prowadzić domu. A ja tylko chciałam, żeby ktoś mnie uratował. Tak jak dziecko czeka, aż dorośli przyjdzie i powie: „Już dobrze, jestem tu”.

Zmieniłam partnerów tyle razy, że już nie liczę. Każdy był nadzieją. Każdy kończył się rozczarowaniem. Bo nikt nie rozumiał, że ja nie szukam mężczyzny. Ja szukam rodzica, którego nigdy nie miałam.

Czasem myślę, że jestem zepsuta. Ale potem przypominam sobie małą dziewczynkę, która dzieliła paczkę z bratem i sprzątała butelki, żeby mieć na chleb. I wtedy wiem – nie jestem zepsuta. Jestem niedokończona. I próbuję się poskładać z kawałków, które zostały.

